

Od autora: Aby wczuć się lepiej w feeling tej historii, posłuchajcie - <http://www.youtube.com/watch?v=BaiqcEljjYU>

*Przyjaźń poznaję po tym, że nic nie może jej zawieść,
a prawdziwą miłość po tym, że nic nie może jej zniszczyć.*
(Antoine de Saint-Exupery)

Marinero zjechał na samą plażę, zaciągnął ręczny i rozejrzał się wokoło. Była już prawie pusta, powoli dochodziła dziewiąta. Zakochani szli boso, trzymając się za ręce. Mieli w torbach koce, małe, tranzystorowe radia i puszki po piwie. Cichy, czuły ocean śpiewał prostą piosenkę o ludzkim kochaniu. Oni, zapatrzeni w siebie i nieobecni, spijali każdy pocałunek lata. Nikt już nie kupował pizzy, nikt nie bawił się z falami. Opaleni chłopcy z kolorowymi surfingami wracali do domu po udanym dniu. Wieczorne niebo szeptało, że noc jest od spełniania marzeń. Księżyc surferów obiecywał miłość, najpiękniejszą z przygód, jaką można przeżyć.

Wtedy powiedziała:

- Nigdy nie miałam mężczyzny. Nie wiem, jak to jest, Mari.

On spojrzał na nią, poprawił czapkę z szerokim daszkiem i odpowiedział:

- To jak skoczyć z mostu na główkę i przeżyć.

Maria Luisa chciała wiedzieć więcej:

- Czy ziemia się zatrzęsie?

- Tak, mała, na pewno.

- Kiedy?

- Pod sam koniec.

- Ja nigdy nie kochałam.

- Ja chyba też.

- Więc skąd wiesz?

- Śniło mi się.

- Jestem dziewczicą.

- Damy radę.

- Nie podchodź do tego tak technicznie.

- Staram się nie dać ciała.

- Chcę to zapamiętać. Móc wspominać.

- Plaża i ocean zmieniają twoje życie.

- A ty?

- Ja? Będę blisko, naprawdę w tobie.

- Kobieta pamięta tego pierwszego.

- To tragiczne.

- To realne.

- Nie poczujesz bólu. Będę z tobą. Robiłem to już wiele razy.

- Czyli rutyna?

- Za każdym razem jest ten pierwszy raz, mała.
- Nigdy nie będzie już tak samo.
- Zgadza się.
- Skoro robiłeś to tyle razy, jak możesz zrobić to ze mną po raz pierwszy?
- Nie angażuję się.
- Nie rozumiem.
- Kocham cię tu i teraz, na zawsze, dziś wieczorem.
- To cyniczne.
- Ty i ja to przyroda, mała, to wymiana płynów. Mam mówić ci, że cię kocham? Że umrę dla tej miłości pojutrze rano? To bez sensu. Świat to zbiór manekinów.
- Co?
- Zrobię z ciebie kobietę, ale nie prosz o więcej. Życie to krótka przejażdżka po nieznanym lądzie. Trzeba łapać minuty. A z miesiący możesz zbudować dom. Lata to już wyczyn.
- Czyli, wy, mężczyźni, nie umiecie kochać?
- Mała, to nie tak. Jeśli ktoś porządnie ci dogodzi, nie znaczy, że cię kocha. Jeśli ktoś naprawdę cię kocha, może nawet nie tknąć cię palcem. Wystarczy, że spojrzy. Że połechce okiem. A ty już wiesz, że jutro wrócisz, by znów patrzył, jak patrzył dziś. Jakby był blisko. Twój, niezapomniany.
- Czym jest ta pieprzona miłość?
- Moim samochodem na plaży. Twoim oddechem na mojej szyi. Kocem, który rozłożę na gorącym piasku. Naszymi ciałami, twoimi nogami oplatającymi mnie, kiedy będę zbliżać cię do kobiecości. Tyle. Aż tyle. Może to mało, może to dużo.
- Czy cię zapamiętam?
- Tak.
- Zawsze tak jest?
- Zawsze, mała, pewne rzeczy dzieją się tylko raz.
- Już nigdy nie będę kobietą bardziej niż z tobą?
- W tym rzecz. Nie będziesz. Plaża, ocean, ja i ty, to przetrwa. I nasze małe kochanie, w tej chwili trwania. Tak to urządzono. To właśnie przetrwa. Czy będzie to wielkie, czy małe, nie nam wyrokować. Czas jest bogiem. On pieczętuje co dobre, i co złe.
- Dlaczego mi to robisz?
- Nie wiem.
- Może ktoś kiedyś zrobił z ciebie przez przypadek mężczyznę?
- Może...
- A więc tak.
- Czy to ważne? Możesz się rozmyślić.
- Nie, za daleko zaszliśmy.
- Tak?
- Jesteś takim samym desperatem jak ja. Widzę to w twoich oczach. To, że chcesz mnie mieć nie znaczy, że jesteś mężczyzną. Że masz prawo do tego. Może to objaw bezsilności, bezradności. Może potrzebujesz widowni, by być tym jedynym, dobrym aktorem.
- Mario...
- Wiem, że kiedyś przyjdzie miłość, ale zanim to nastąpi, zadowolę się tym wieczorem.
- Na pewno znajdziesz sobie porządnego, zakochanego w tobie faceta. Zasługujesz na niego. A ja jestem pierwszym przystankiem w drodze do nowego świata.
- Ile takich przystanków pozostało tobie, Mari, do miłości?
- Nie wiem. Nie mam pojęcia, kiedy to się skończy.
- Czyli nie jesteś szczęśliwy, bawiąc się dziewczynami.

- Używam życia, nic więcej. Na każdej mi zależy do pewnego momentu. Potem odchodzę. Może coś ze mną nie tak, a może po prostu nie umiem inaczej.
- Ty bronisz się przed kochaniem. Słyszę to w słowach, które wypowiadasz. Może nawet boisz się pokochać. Tak mocno, tak, jakby jutro miał się skończyć świat.
- Nie znam się aż tak dobrze. Mam dopiero dwadzieścia osiem lat. Pewnego dnia zapewne doznam olśnienia. Liczę na to. Nic nie trwa wiecznie. Ile można się bawić, nie?
- Kim ona była, Mari?
- Kto?
- Ona. Ta, która ci to zrobiła. Przez którą jesteś dziś taki wypalony. Nie zaprzeczaj, że nigdy nie istniała. Wiem, że kiedyś ci zależało, ale nic z tego nie wyszło.
- Nie chcę o tym mówić, Mario. To zamknięty rozdział.
- To wciąż otwarty rozdział. Dopóki go naprawdę nie zamkniesz. Musisz tego chcieć, a zobaczysz kolory, których teraz nie widzisz. Kobiety czują takie sprawy mocniej niż wy. Nadal tkwisz w więzieniu wspomnień i nadal nie możesz zapomnieć.
- Może...
- Masz aż dwadzieścia osiem lat. Możesz być kim zechcesz. Po prostu otwórz się, przeszłość pozostaw za sobą. Dopiero wtedy będziesz gotowy na miłość.
- Chodź, poszukamy miejsca.
- Nie zapomnę cię, Mari. Już to wiem.
- Po mnie będą inni. Tego nie unikniesz. Jesteśmy tylko ludźmi.
- Bądź ze mną tak, jakbyś mnie naprawdę kochał. Jakby ci zależało, jak na tamtej. Obiecuj. Chcę to poczuć, mocno i wyraźnie.
- Obiecuję.

Pescador był wielkim fanem The Beach Boys, idoli tych lat, pięknych i zdolnych chłopaków, obok Elvisa, symboli wszystkiego, co amerykańskie, którzy tworzyli muzyką wprost wymarzoną dla surferów. Odnajdywał w niej wszystkie te przygody na falach, kiedy ślizgał się na nich na nowej, zielonej desce, dziewczyny, podziwiające go z brzegu, krzyczące i machające mu rękami, wesołe, gorące i zawsze gotowe na dobrą zabawę na plaży, wieczorne pocałunki, spacerzy nocą brzegami oceanu, przejażdżki czerwonym kabrioletem Corcovado, który miał ciężką nogę i lubił zaszaleć na szosie, w końcu swoją miłość – Sherry, dziewczynę ze snów, kochającą go jak nikt wcześniej. Była jego światem, spełnionym marzeniem, sensem życia. Wiedział, że z nią zostanie i razem się pięknie zestarzeją. Takie rzeczy się wie i Pescador był tego pewien. Inne już dla niego nie istniały. Były jak powietrze.

- Kochanie, zgłupiałem dla ciebie i pozwól mi pozostać głupcem do końca świata – mawiał często i wiedział, że w tych prostych kilku słowach jest zawarta istota jego szczęścia.

To dla niej nauczył się jeździć na desce po wysokich falach, chciał jak wszyscy, młodzi chłopcy i mężczyźni, aby jego miłość była z niego dumna, bowiem wtedy, w 1964 roku być surferem oznaczało być kimś, być stuprocentowym Amerykaninem, należeć do elity.

Dobiegał powoli trzydziestki i niebawem chciał założyć z Sherry rodzinę – dojrzał już do tej decyzji i nie chciał dłużej odwlekać chwili, kiedy jego marzenia spełnią się do końca.

- Skarbie, wypełnię cię dziećmi. Nasze życie będzie kolorowe i niebanalne.

Wiedział, że istota męskości polega na mądrości życiowej.

Nie jest to uporczywe udowadnianie swej wartości poprzez bezrozumne zaliczanie kolejnych kobiet – mężczyzną się jest, kiedy kocha się tę jedyną, traktuje ją jak królową, ma się z nią udaną rodzinę i szczęśliwy dom, pełen śmiechu, małych, prostych radości i kochania.

Bo być męskim to okazywać uczucia.

I szacunek kobiecie, którą się wybrało, ale także wszystkim innym przedstawicielkom płci pięknej.
Nie trzeba mięśni, dwóch metrów wzrostu, grubego portfela i najnowszego auta.
Podziw ukochanej zdobywa się dobrocią, naturalnością i czułością.
I wie się, że małe rzeczy znaczą wiele.
Przelotny pocałunek, muśnięcie dłonią policzka, dotknięcie włosów, otworzenie drzwi w samochodzie, ustąpienie miejsca w autobusie.
Mężczyzną się jest, kiedy się płacze.
To przejaw siły i niezaprzeczalnego człowieczeństwa.
Bo w życiu jest czas na śmiech i na łzy.
Gdy płyną po męskich policzkach wiadomo, że nie wypłynęły ze skały.
Istotą męskości jest też trudna umiejętność wybaczenia: ile trzeba wewnętrznej wielkości, by puścić to, co złe, w niepamięć, nie mścić się, nie żyć nienawiścią.
I szacunek dla rodziców, dziadków i ludzi starszych.
I wytrwałość w przyjaźni, wieczna gotowość niesienia pomocy duchowemu „bratu”.

Taki był Pescador, kochający i pełen pochylenia dla innych.
Nie miał wrogów, otaczali go ludzie dobrzy i życzliwi, dla których stanowił wzór człowieka.
W sobotnie popołudnia, po surfowaniu, spotykał się z Marinero i Corcovado na grillu, który lubił organizować w swoim ogródku.
Doskonale przyrządzał karkówkę, miał zawsze zimne, markowe piwo i świetne sałatki, których autorką była Sherry, kobieta-skarb, jak cały wieczór o niej mówił, i duma, jaką miał wówczas w oczach, była jak piękne, naturalne światło, zrodzone z tego, co najświętsze.
- Kotku, jesteś już prawie moją żoną – powiedział z uśmiechem, kiedy dawał jej szybkiego całusa.
- Pesca, będziesz najlepszym mężem pod słońcem – odpowiadała Sherry, a Mari i Corc klaskali, jakby byli świadkiem pierwszorzędnego przedstawienia.
- Stary, twoja kobieta to zjawisko – mówili przyjaciele i mieli rację. – Mieć taką to wygrać los na loterii, bo życie to jazda na rollercoasterze. Nieźle trzepie. Tobie na szczęście nie grożą bolesne upadki.
Pescador był policjantem.
Dzięki błyskotliwej służbie szybko awansował i przed trzydziestką był już porucznikiem.
Pracował w dochodzeniówce.
Najczęściej rozpracowywał drobnych handlarzy narkotyków i małych, latynoskich alfonsów.
Nigdy nie działał w afekcie, nie kierował się złą pasją.
Był spokojny i chłodny, bez wewnętrznej potrzeby udowadniania swej urzędowej przewagi.
Wielokrotnie dawał szanse drobnym cwaniaczkom, ostrzegając ich i puszczając wolno.
O dziwo, nawracali się jeden po drugim.
A więc istniało coś na kształt „siły dobrego słowa”, a może była to pewność, że kolejny ruch porucznika będzie już bardziej radykalny.
Kiedy pewnego wieczora przyniósł do domu małego, wychudzonego psiaka, Sherry nie miała już złudzeń, że to najlepszy mężczyzna, najbardziej męski i prawy, jaki żyje w tym mieście.
- Tatku, jesteś wielki!
- Biedak będzie miał teraz dom.
- Tak. I będzie mu tu dobrze.

W czasach, kiedy szalony rock’n’roll rządził niepodzielnie światem, w gazetach istniały jeszcze rubryki z ogłoszeniami towarzysko-matrymonialnymi.
W pismach młodzieżowych, których było sporo na rynku, było ich bardzo wiele.
Młodzi ludzie chętnie po nie sięgali, chętnie dawali tam własne ogłoszenia w nadziei na rychłe znalezie-

nie miłości życia lub przeżycie ciekawej przygody.

Mocno wierzył w to Corcovado, dwudziestosześcioletni, przystojny chłopak, który miał całe życie przed sobą, lecz nie miał dobrej ręki do dziewczyn – zawsze coś mu nie pasowało lub coś nieoczekiwanie pokrzyżowało plany. Na własny użytek nazywał to pechem. Mogło być zgoła inaczej: może po prostu ta jedyna nie pojawiła się jeszcze na widnokręgu jego życia, lecz gdzieś w przestrzeni już powoli zbliżała się ku niemu, nieświadoma tego, co niebawem zgotuje los – wszak co pisane, być musi. To kwestia czasu i miejsca. Reszta toczy się już sama.

Pewnego dnia znalazł w skrzynce list.

W owym czasie dostawał wiele listów od dziewczyn, chcących poznać go bliżej.

Wszystkie były bardzo bezpośrednie i zdeterminowane, śmiałe i otwarte.

Tym razem pisała do niego dwudziestopięcioletnia dziewczyna imieniem Connie, metr siedemdziesiąt trzy, blondynka, atrakcyjna, spokojna i ugodowa. Domatorka. Lubiąca muzykę, wypoczynek nad wodą i Elvisa. Kochająca zwierzęta i kwiaty. Czula i namiętna. Chcąca założyć rodzinę. Tak się opisała. Wyglądało to intrygująco, by nie powiedzieć, pociągająco. Należało zbadać ten trop – a nuż coś z tego wyniknie.

Lubił wysokie dziewczyny, czuł się w ich towarzystwie dowartościowany i dumny jak paw.

W liście było też zdjęcie. Przedstawiało miłą, uśmiechniętą twarz, z gatunku takich, którym ufa się od pierwszego wejrzenia. Był w niej naturalny wdzięk. Jakaś szczerza prawda. I coś, co obiecywało rozkosz. Niewątpliwie miała w sobie wiele erotyzmu, lekkiego i ulotnego, ale wyczuwalnego. Nie sposób było tego nie zauważyć. Czasem na twarzy wypisana jest cała prawda o człowieku. W tym przypadku tak właśnie mogło być. Miała rzadkie zęby. Uwielbiał rzadkie zęby u kobiet. Podniecało go to. Mógł je obserwować godzinami, jak najpiękniejszy film i nigdy nie miał dość. Teraz czuł, że coś może z tego wynikać.

Podawała numer telefonu.

Zadzwonił do niej.

Był ciepły poranek, świeciło słońce, a na falach dziesiątki chłopców jeździło na kolorowych deskach, podczas gdy z plaży dobiegała kolejna piosenka The Beach Boys o tym, by spełniać swoje letnie marzenia, wywołując gorący aplauz opalonych na brąz dziewczyn.

Dzień, jakich wiele, choć może nie do końca.

Rozmawiali.

Była miła i gadatliwa, nie poczuł z jej strony żadnego dystansu, wręcz przeciwnie, odniósł wrażenie, jakby znali się od lat i doskonale rozumieli. Jakby rozmawiał ze starą, dobrą znajomą, która nagle pojawiła się ponownie w jego życiu. Była zrelaksowana i spontaniczna, miała w sobie sporo luzu. Był zachwycony, choć tego nie okazał. Chciał dać sobie nieco czasu. Tak właśnie poczuł się owego dnia, kiedy usłyszał ją w słuchawce telefonu po raz pierwszy. Poczuł cudowny dreszcz, który zazwyczaj towarzyszy oczekiwaniu na coś niezwykłego. Miał przeczucie, że ich spotkanie będzie czymś niezapomnianym i otworzy nowy rozdział w jego życiu.

I tak się stało.

Szybko umówili się w jednej z knajpek na piątek po południu.

Coś się zaczynało, coś się kończyło.

Tego popołudnia rozmawiali do późnych godzin wieczornych.

Nie mogli się sobą nacieszyć zaskoczeni, że wszystko potoczyło się tak gładko i oni, wczoraj jeszcze sobie obcy, dziś poczuli coś, co nakazywało natychmiast umówić się znów, by być ponownie razem i poznawać się krok po kroku, coraz bardziej, głębiej i intensywniej.

Corcovado widział, co się z nią działo – Connie zakochała się w nim od pierwszego wejrzenia, mocno, bezprzytomnie, z siłą, jakiej po niej nie oczekiwał.

Znał wiele dziewczyn i wiedział, jak wygląda i zachowuje się zakochana na zabój kobieta.

On jednak nie wyzbył się początkowo swej rezerwy i pewnego chłodu, na który ona zdawała się wcale nie zwracać uwagi – na trzeciej randce wyznała mu, że go kocha i że właśnie jego szukała od dawien dawna. Jej szczerość zwała z nóg, nie pozwalała pozostać długo obojętnym, zwłaszcza że i jemu zaczynała coraz bardziej podobać się ta wysoka, urodziwa dziewczyna, która przyniosła mu miłość i potrafiła o niej mówić tak lekko i naturalnie.

Dość szybko się przed nią otworzył. Już nie grał twardziela. Czuł, że tym razem nie musi, tym razem to dzieje się naprawdę, to, co poprzednio było tylko na niby.

Niebawem wszystko o sobie wiedzieli i nie kryli się przed światem ze swoją miłością.

Wkrótce wszyscy jego koledzy już wiedzieli, że Corc w końcu znalazł to, czego szukał.

W radio Chłopcy z Plaży grali „Summer means new love”.

Zbieg okoliczności?

Chyba nie.

Marinero wciąż bawił się kobietami, jak wtedy Marią Luisą.

Zmieniał je jak rękawiczki.

Nie miał planu na siebie, żył jak we śnie, w którym mrok zakrywa światło.

Chwytał chwilę, by po jakimś czasie mieć w dłoni tylko wiatr.

Zapytany, czy zna się do końca, odpowiedziałby zapewne, że nie.

Stojąc w miejscu, cofał się, obok płynęły tygodnie i miesiące jak niemy, martwy korowód.

Pustka też jest formą życia.

Lecz czy jest nią, kiedy nie zdajemy sobie z tego sprawy?

Czy była to jego spostrzegawczość, czy złośliwość, nie wiadomo, faktem jest, że żadna mu nie pasowała, a lodowata obojętność stawiała się coraz wyraźniej jego właściwą naturą.

Często kończyło się na jednym stosunku, nocą, na tym samym kocu co zwykle, na plaży, by szansa na miłość odpłynęła do krainy niebytu, a utrwalona chęć posiadania coraz to nowych kobiet pchała go nieskończenie w ramiona naiwnych, gorących dziewczyn, które liczyły na coś więcej niż tylko na przelotny romans.

Czasem wiązał się na jakiś czas.

Jednak widział je „po swojemu”.

Była zatem Lola, młoda brunetka o cienkim głosie i apodyktycznym charakterze, którego liczne cechy składowe mogły odstraszyć najbardziej zapalonych do miłości amantów.

Zdyskwalifikował ją ponadto nieświeży oddech, owłosione ręce i kaczy chód, który rzucał się wszystkim w oczy, tylko nie jej samej. Taka dziewczyna to żenada, zwłaszcza że była mocno niereformowalna i zadufana w sobie, torpedująca wszelkie uwagi i sugestie.

Potem była Tricky, blondynka o obfitych kształtach i wyrazistych ustach, jakby nieco za dużych do reszty twarzy, która była szczupła i pociągła, co z kolei kontrastowało z jej tuszą.

Pociła się jak szczur, co niechybnie wiązało się z długą, gęstą smugą odoru, który ciągnął się za nią jak dym z komina statku na pełnym morzu. Nie szło wytrzymać w jej towarzystwie – zbierało się na mdłości. Jej owe wyziewy nie przeszkadzały – wszak nie czuje się ponoć własnego zapachu.

Była też Candy, która notorycznie spóźniała się na randki, ubierała się jak ostatni kloszard, nie myła się i paliła dwie paczki Marlboro dziennie. Tych najmocniejszych. Cuchnęła niemożliwie. I mogła z tym żyć. Miała męskie szczęki i wiecznie przetłuszczone włosy. Widok nieszczęśliwy. Odstępczący.

Sepleniała i syczała. Lubiała gwizdać na ulicy. Jej buty były zużyte. Stopy za duże jak na kobietę. Za pa-

znokciami cały brud naszej ziemi. Potrafiła nieźle kłamać i opowiadać jakieś pokrętne historie rodzinne, tylko po to, aby wywoływać zaplanowane z premedytacją współczucie i tym samym przywiązać do siebie Marinero, który łatwo i szybko rozgryzł jej gierki i pewnego dnia zakończył tę żalosną znajomość.

Po nich przychodziły i odchodziły inne.

Pojawiały się i zanikały jak pory roku.

Z niektórymi udawało mu się znać dłużej, lecz za każdym razem kończyło się to fiaskiem, jakby utrzymanie znajomości na dłużej wciąż leżało poza zasięgiem jego możliwości.

Coś wiecznie zaburzało harmonię współżycia, coś kategorycznie przekreślało rachuby.

Jakby nie nadeszła jeszcze pora, ta właściwa pora na miłość.

Ale może nie w każdym przypadku musi tak być.

W barze u Kościstego Johna poznał młodą Latynoskę, Dolores.

Miała wszystko, co trzeba.

Śmiała się tak, jak śmieją się kobiety, które właśnie poznały interesującego mężczyznę.

Chciała być z nim – w jej oczach był ten typowy błysk poprzedzający rozkosz.

Nie musiał o nic pytać, wiedział, że sprawy pójdą jak zwykle, czyli gładko.

Ile razy to robił, ile razy był na tym samym kocu, na plaży, z coraz to nowymi dziewczynami, które myślały, że ta noc to początek czegoś pięknego i wartościowego.

Czuł potęgującą się obojętność.

Choć większość z nich była pięknosciami, jednak nic z tego nie wychodziło, ciągle kończyło się na jednym razie, a potem następowała głucha cisza.

Maria Luisa miała rację – był wypalony.

Seks stał się jego alternatywną formą życia.

Swoistą wegetacją.

Ucieczką.

Oszustwem...

Wziął ją na kocu, na tej samej plaży, na której był z dziesiątkami innych dziewczyn.

Krzyczała, bo było jej dobrze – umiał to robić tak, aby kobieta traciła rozum.

Nauczyły go tego te wszystkie, naiwne, biedne istoty, szukające miłości pod złym, trefnym adresem.

Panował nad sobą, więc trwało to długo.

Potem zabrał ją do wody i tam wszystko się powtórzyło.

Kiedy później odpoczywali na kocu, zapytała:

- Zostaniesz?

- Tak – odparł kłamliwie, zapalając Pall Malla.

- Dlaczego?

- Bo dobrze mi z tobą.

- Jestem nikim specjalnym.

- Dla mnie w sam raz.

I zjeżdżał samochodem na samą plażę, jak wtedy z Marią Luisą.

I był w Dolores wiele razy, aż błądy świt witał ich na uśpionym piasku.

Mijały miesiące, a on co noc rozkładał swój koc.

Czas stawał w miejscu i nic stawało się czymś.

Wszystko zastygało w znieruchomieniu i jedynie ocean falował cichym poszumem...

Tylko nagie ciała majaczyły w nocnym zespoleniu.

Aż wreszcie coś się zmieniło...

Poznał Mel, miała naprawdę czym oddychać, a w oczach igrały przewrotne ogniki.

W jeden dzień zapomniał o Dolores, o rozkoszach, które były ich udziałem.

Wymazał to po swojemu z pamięci, bo była ona krótka i nic niewarta.

Z inną spijał swój miód, bo liczyło się tylko to, co może nadejść, a przeszłość była formą teraźniejszości, w coraz to nowych wydaniach.

Był w swoim sosie.

Zaspokajając najprostsze potrzeby oddalał się od tego, co czyni życie życiem.

Zamknięty w klatce, nie znał do niej klucza.

To, co ludzie nazwaliby po jakimś czasie piekłem, on nazwałby domem.

Choć często spotykał się na grillu z Pescadorem i Corcovado, słuchał o prawdziwej miłości i tym, co czyni z człowieka, był daleko od nich i ich spojrzenia na świat i przyszłość – czy miał w ogóle jakieś?

Oni, szczęśliwi i zakochani, mieli już nowe oczy.

On spoglądał na to i nie rozumiał.

Ta ślepotą powstawała przez wiele lat, kiedy postawił na nocne wizyty na plaży.

Może tak go wychowano?

Może niczego innego nie nauczyło go życie?

Może po prostu wybrał swoją drogę?

Wtedy zadzwonił do niego Pescador.

Mówił spokojnie, jak zwykle:

- Mari?

- Cześć, Pesca, o co chodzi?

- Twoja mała była dziś u nas. Ta Dolores. Próbowала wmówić, że będzie miała z tobą dziecko. Że ją zgwałcił.

- Nonsens, sama chciała.

- Dziecka nie ma, póki co, bo ją zbadał lekarz i okazało się, że ma spiralę.

- Cwana bestia.

- Pogadałem z nią. Wyperswadowałem, żeby odpuściła, że nie jest w ciąży, a gwałt trzeba odpowiednio umieć udowodnić. Trochę się darła, ale potem jej przeszło. W końcu za fałszywe zeznania...

- Dała spokój?

- Dopiero, jak ją postraszyłem.

- Dzięki, stary.

- Lepiej uważaj na nie. Czasem trafi ci się taka, co dopnie swego.

- Mam oczy szeroko otwarte.

- Podobno często bywasz w nocy na plaży.

- Tak, to prawda, jeżdżę tam z dziewczynami.

- Tu każdy wie, jak inny żyje.

- No i co z tego?

- Żebyś kiedyś nie dostał za swoje.

- E.

- Pilnuj się.

- Dobra.

- To na razie.

- Trzymaj się, Pesca.

Pewnej nocy doszło do przesilenia, bo nic nie trwa wiecznie.

Marinero był akurat na kocu z Mel, kiedy oni pojawili się znikąd, jak banda złych duchów. Było ich trzech, wszystko wyrosnięte, latynoskie draby, o rękach jak bochny chleba. Dziewczyna uciekła w popłochu, a on dostał się w ich łapy. Nad ranem znalazł go ratownik wodny. Był nieprzytomny, a twarz wyglądała jak krwisty pulpet. W szpitalu stwierdzono wstrząs mózgu i inne urazy, jednak mogło być gorzej, ale nie było. Długo nie otwierał oczu, lecz kiedy to uczynił, wnet ujrzał Pescadora i Corcovado, stojących obok łóżka, z uśmiechem na twarzy, witających powracającego z zaświatów.

- Hej, staruszk, jak leci? – zawołali.

- Och...

- Czyli żyjesz!

- Co jest? – spytał Marinero.

- Ktoś cię napadł na plaży i poturbował – powiedział Corcovado.

- Nic nie pamiętam...

- Nad ranem byłeś już tutaj – dorzucił Pescador.

- Nie pamiętam nic...

- Nic?

- Nic.

- A co pamiętasz?

- Was.

- A ją? A ich?

- Wcale.

- A po co byłeś na plaży pamiętasz?

- Nie.

- Może to i dobrze... - rzekł Corc.

- Co? – spytał Mari.

- Nic – odpowiedział Pescador. – A byłeś w ogóle na jakiejś plaży?

- Chyba nie... - stęknął Mari.

- No właśnie. Grunt, że żyjesz.

- Ale co ja tam właściwie robiłem?

- Pływałeś w nocy w oceanie i ktoś cię pobił, jakiś świr pewnie.

- No tak...

- Przecież zawsze lubiłeś popływać, nie?

- Tak.

- I wtedy poszedłeś sam na plażę, by przepłynąć co nieco. Nie było przy tobie nikogo.

- Rozumiem.

- Tylko ty i ten bandzior.

- Tak.

- Wyliziesz się. Z każdym dniem będzie coraz lepiej.

- Muszę.

- Po prostu leż i czekaj na dobry dzień. Będziemy wpadać. A propos, Connie niedługo urodzi. Sherry też. W ogóle szykuj się na dwa wesela: żenimy się! Corc i ja. Będzie się działo! – rzekł wesoło Pesca.

- To fajnie, chłopaki. Kurcze, to jest coś.

- Życie jest piękne i do ciebie też się uśmiechnie – powiedział Corc na odchodnym.

Kiedy już opuścił szpital, zadzwonił do nich i natychmiast zaprosił do siebie. Kupił piwo, sporo dobrego jedzenia i kubańskie cygara.

Zdjął ze ścian plakaty z gołymi babkami, z niejakim zażenowaniem wyniósł je na śmietnik, to samo spotkało kolekcję kolorowych prezerwatyw, licznych flakoników z „hiszpańską muchą”, johimbiną i innymi używkami. W koszu wylądował nawet tribulus terrestris. Opakowanie z białkowymi odżywkami dla kulturystów też podzieliło podobny los.

Posążek nagiej Miss America szybko wyleciał ze świstem w niebyt.

Miał teraz na sobie markowy garnitur, modny krawat w paski i lśniące, czarne buty.

Nie pamiętał prawie nic z przeszłości, poza parą przyjaciół i zamglonymi obrazami, których nie rozumiał, nie identyfikował ze sobą, były jak sen, dziwny, obcy, tajemniczy...

Tego dnia obejrzał własny samochód i doznał uczucia, jakby go wiedział po raz pierwszy w życiu, jakby był zbyt luksusowy i rażący niepotrzebną, krzykliwą ekstrawagancją.

- To twoja zabawka, Mari, nie poznajesz? Jeździłeś nią na plażę, by tam sobie popływać.

- Poważnie?

- A jakże!

- Szkoda, że nie ma tego w mojej głowie...

- Parkowałeś go na plaży, a potem pływałeś w oceanie.

- Tak...

- Teraz też będziesz mógł tak robić.

- Jasne. A jak dojechać do plaży?

- Powiemy ci.

- Chętnie to zrobię, lubię wodę.

- A je pamiętasz? – tu chłopcy pokazali Marinero Connie i Sherry, które dotąd ukrywały się w samochodzie.

- Nie...

- To nasze dziewczyny, nasze boginie!

- Super.

- One też czekały na ciebie.

- Oj, fajnie...

- Dobrze, że wróciłeś – rzekł Corcovado.

- Brakowało nam ciebie – dorzucił Pescador.

- Zaczynam od zera, chłopaki... od niczego. Tak mało wiem – odpowiedział szczerze Marinero. – Wszystko mi się miesza w głowie...

- Masz dużo na nadrobienia. Choćby popatrzeć, jak pływasz na surfie. Choćby posłuchać najnowszego kawałka The Beach Boys „Don't worry, baby”, już masz wiele do roboty!

- Dlaczego wy macie kobiety, które was kochają, a ja jestem sam jak palec? Nikt na mnie nie czekał? – spytał smutnym głosem Mari.

Chłopcy spojrzeli porozumiewawczo na siebie, po czym przemówił Pesca:

- To się wkrótce zmieni. Jesteś gościem, na którego poleci każda laska.

- Tak sądzisz?

- A wiesz, czym jest miłość? – zagadnął nagle Corcovado.

- Tak, to bycie dobrym dla drugiej osoby, to czułość, szczerłość, kompromis. Robienie porannej kawy. Po całunek na dobranoc. Miłe słowo. Przeżywanie razem trudnych chwil, które cementują. Wspólne zakupy w sobotę u Dużego Mike'a. Ja chyba wiem, czym to jest...

Wieczór upłynął w wesołej, rodzinnej atmosferze.

Dziewczyny opowiadały o swojej pracy, o tym, że jest im tam dobrze, i o tym, że wkrótce zostaną szczęśliwymi mamami. Mówiły to tak, że Mari chwilami czuł, że coś dławi go, łapie niewidzialnymi kleszczami za gardło, niby smutek, niby żal. Jakby ktoś śpiewał piosenkę, opowiadającą o śmierci rodziców.

Nie było mu wesoło. Czuł, że to daleka melodia, niepasująca do jego „tu i teraz”. W głowie tłukły się myśli dziwne, ponure, osobliwe.

- Więc miłość jest...
- Tak, Mari, i znajdzie cię w chwili, kiedy się będziesz tego najmniej spodziewał – rzekł Corc.
- To jak uderzenie pioruna – nic potem nie już takie jak przedtem – konkludował Pesca.
- Chciałbym to poczuć... - szepnął Mari.
- Skoro my to mamy, i ty nie będziesz w tyle.

Potem Mari odpalił silnik swojego auta.

Wszyscy słuchali w zachwycie rasowego pomruku widlastej ósemki.

W końcu odezwała się Connie:

- Hej, czemu dotąd nas nie przewiozłeś?
- Teraz?
- Tak! Proszę! Ameryka kocha szaleńców!
- To wsiadajcie. Zmieścimy się wszyscy.

I pojechali do miasta, młodzi, piękni i opaleni, wesoło rozmawiając o wszystkim i niczym.

Kiedy mijali włoską pizzerię, Mari poczuł jakby dziwny przebłysk woli – coś kazało mu przystanąć i pozbierać myśli. Czemu to robił – trudno by dochodzić.

- Co jest, stary, koniec jazdy? – spytał Corc.
- Zapraszam was na pizzę. Chyba kiedyś ją lubiłem. Tak mi się zdaje.
- Ok.

Weszli.

Usiedli.

Podeszła kelnerka, dziewczyna mogąca bez dwóch zdań uchodzić za piękność dnia.

Miała śliczną twarz, niesamowite, brązowe nogi, piękne dłonie i oczy jak dwa bursztyny.

Długo nie przyjmowała zamówienia, patrząc przenikliwie na Marinero. Nie mogła wydobyć z siebie głosu. Wyglądała, jakby zamieniono ją w kamień. W końcu odezwała się:

- Słucham?
- Pięć razy pizza Americana - powiedział Mari, patrząc na nią dziwnie przenikliwym wzrokiem, w którym czaiło się wyraźnie zainteresowanie. W oczach dziewczyny dostrzegł to samo. Na chwilę zamarli w długim spojrzeniu. Trwało to jakieś trzydzieści sekund. Potem udawali, że nic się nie stało. Jednak wiadać było, że nie było to byle jakie spojrzenie.
- Służę.

Po jakimś czasie już jedli.

Kelnerka z daleka obserwowała ich stolik.

Sherry zauważyła to i wnet pomyślała, że musi mieć w tym jakiś interes.

Kto tak uporczywie, zwłaszcza w pracy, gapi się na gości?

- Hej, ona nas lustruje!
- Faktycznie.
- Dajmy spokój.
- Też tak myślę.
- Wezmę ją na bok – powiedział Corc. – W końcu czasem warto porozmawiać. A ona wygląda mi na kogoś, kto chce coś powiedzieć. Mylę się?

Tydzień później, do budynku pewnej firmy, gdzie pracowała Connie, przyszła młoda, piękna kobieta i bez zbędnych wstępów poprosiła o rozmowę.

Była opanowana, na luzie.

Wyglądało na to, że wie, czego chce.

Była nią ta sama kelnerka, która obsługiwała ich niedawno.

- Tak?
- Możemy porozmawiać?
- Oczywiście.
- Więc...

Potem Mari odebrał telefon.

Connie miała mu coś do zakomunikowania.

- Wiesz, co?
- Tak?
- Miałeś kiedyś dziewczynę. Tylko ona nic nie wiedziała o twoim wypadku. Kochałeś ją do szaleństwa, ona cię też. Miłość jak ze snu. Teraz chce się z tobą spotkać. Chcesz tego?
- Chcę. Bardzo. Nawet nie wiesz jak.
- Idź jutro do tej pizzerii, gdzie byliśmy ostatnio. Poznasz ją – to ona przyjmowała od nas zamówienie.
- Ale ona jest taka piękna... To ta?
- Ty też jesteś przystojny. Niczego ci nie brak. Czasem złota szansa pojawia się tylko raz, Mari. Podobno nie wchodzimy dwa razy do tej samej rzeki. Wiem, że jesteś gotów.
- Pójdę.
- To dobrze. Bądź sobą, tylko sobą. To wystarczy.

Tego samego dnia urządzili sobie piknik na plaży.

W radio The Beach Boys śpiewali „Little Miss America”, a ludzie wokoło krzyczeli w zachwycie – w końcu szczęście to także dobra muzyka, zwłaszcza, gdy obok szumi ocean.

Był ciepły, letni dzień, prawdziwa, amerykańska sielanka.

Na piasku piękne ciała spoglądały w błękit nieba.

Zabawa zwana życiem trwała w najlepsze i nic nie mogło jej popsuć.

Chłopcy rozstawili grill, rozdali piwo i Corcovado krzyknął:

- To już za tydzień!
- Co? – spytał Mari.
- Nasz ślub. I Pesca. Niech żyje miłość, bez niej nic nie ma sensu.
- Macie dobrze...
- Ty też masz dziewczynę – słowa Connie były jak odkrycie Ameryki.
- Tak, jutro tam pójdę.
- Spełnisz swój letni sen – powiedział Pescador. – Po prostu stanie się rzeczywistością.
- Nie zapomniałeś, co to znaczy kochać, co? – zagadła Sherry.
- Powoli sobie przypominam – odpowiedział poważnie Mari. – To wraca coraz mocniej i wiem, że już nie odejdzie.

Potem Pesca zadedykował mu ostry zjazd wysoką, spienioną falą.

Taką na parę metrów.

Chłopcy dobrzy w te klocki rzadko porywali się na takie wyzwania.

Balansowanie ciałem osiągało tu prawdziwe mistrzostwo.

Jego markowa deska była ok., chciał mieć najlepszą z najlepszych.

Czując punkt ciężkości można było osiągnąć wiele.

A woda jest tylko tworzywem.

Przez dobre pół godziny ślizgał się po grzbiecie oceanu, zjeżdżając w różnych kierunkach, robiąc surfer-skie figury, bawiąc się całą tą, magiczną sytuacją, raz stojący, innym razem na ugiętych nogach, stapał

się z wodą w jedno, chwilami fala zakrywała go i wydawało się, że przepadł na dobre, lecz po sekundzie wybijał ku górze, zwycięski i twardy, by w końcu spłynąć do brzegu.

Powitały go oklaski.

- No i jak, Mari, było ok.?

- Jasne. Byłeś wielki.

- Każdy może.

- Tylko ty.

- Znam paru surferów, którzy pojechaliby wysoko.

- Jesteś najlepszy – odezwał się Corcovado. – Masz to coś, czego nie mają te drobne małolaty.

- To nie tak: życie to surfing. Raz jesteś na fali, innym razem dajesz ciała.

- Tak – przytaknęła Connie. – Dobrze to ująłeś.

- I choćbyś pękł, przeznaczenia nie przeskoczysz. To łapanie w garść wiatru.

- Mari, pamiętasz?

- O czym?

- O spotkaniu.

- Tak. Na bank. Cieszę się, że macie wkrótce te fantastyczne wesela.

Poszedł, jak jeszcze nigdy nie szedł do żadnej, bo w tej chwili była magia i prawda.

W eleganckim, nowoczesnym garniturze, modnym krawacie i lśniących butach.

Woda kolońska, którą się spryskał, kosztowała nieco.

Miał w kieszeni paczkę Marlboro, by ją poczęstować.

Zadbał o każdy szczegół, wszystko się dla niego liczyło, bo chciał, by spełnił się letni sen.

Dzień wcześniej był u fryzjera i ostrzygł się tak, jak należało w tych czasach.

Modnie i w deseń, i to, co ujrzał w lustrze, bardzo mu się podobało.

Skarpetki miał w paski, bo taką modę zapoczątkował sam Elvis, więc nie można było być pod prąd – kobiety lubią facetów na fali, odpicowanych jak siódmy cud świata.

Kiedy wszedł do pizzerii, nie zobaczył nikogo.

Przez chwilę rozglądał się po lokalu, lecz ogólna pustka nie nastrajała do poważniejszych kroków – czyżby tego dnia nie było ruchu?

Wtedy z bocznych drzwi wyczłapał opasły, spocony wieloryb, szef, o posturze mogącej uchodzić za zwierzęcą:

- Co jest, chłopie?

- Szukam kelnerki, tej, no, tego...

- Tej Hiszpanki? Marii Luisy? Jesteś jej chłopakiem?

- Może.

- Jest na zwolnieniu. Ma grypę. Wał pod Silver Street 12.

- Ale to ona obsługiwała niedawno?

- Tak, ta sama.

- Dziękuję.

Zapukał.

Otworzyła.

W drzwiach stała Maria Luisa, dziewczyna, z którą był kiedyś na plaży.

Piękna, zjawiskowa, nieziemska, jakby przewrotny czas zatoczył szerokie koło.

Mimowolnie rozchyliła usta i podrapała się po czole, stając na jednej nodze.

Miała pomalowane na różowo paznokcie, włosy farbowane na blond.

Śliczne, drobne stopy i naturalny uśmiech, który obezwładniał.

Po raz pierwszy ukazana mu w nowym świetle.

Jak biała karta, której nikt dotąd nie zapisał.

Nie wiedział, że ona wiedziała.

Corcovado zrobił swoje - prawdziwy przyjaciel to bezcenny skarb, to złoto tego świata.

W jej ciepłych, brązowych oczach zobaczył to, co chciał zobaczyć.

To, do czego obudził się po wypadku, co teraz stało się pragnieniem serca.

Już wiedział, że miał tu być, wcześniej czy później – jej spojrzenie mówiło więcej niż jakakolwiek, pisana litera, był w nich blask, który jest jak światło w tunelu, gdzie mrok bywa formą życia.

Uśmiechał się do niej przez chwilę, po czym powiedział:

- Pozwól mi na resztę.

Maria nie zrozumiała.

- Na co?

- Jesteś moją dziewczyną?

- Od tamtej nocy nie miałam innego. Byłeś tylko ty, Mari, byliśmy bardzo szczęśliwi.

- To trwało?

- Tak.

- Jesteś śliczna, Mario.

- Ty też jesteś w porządku.

- Masz piękne usta.

- A ty dłonie, takie artystyczne.

- Byłaś dziewczcą?

- Tak. Dla ciebie. Pamiętasz?

- Jak przez mgłę...

- Od tamtej nocy nic się nie zmieniło.

- Kochałem cię?

- Bardzo.

- Gdzie byłaś, kiedy mnie nie było?

- Szukałam cię, kochany, nie wiedziałam, co się stało.

- Mario, czy ty na pewno...

- Tak, kochanie, tak.

- Mario, czy ty zawsze...

- Tak, kotku, tylko ty...

- Mario, a ja byłem...

- Byłeś moim przeznaczeniem.

- Mario, czy ty i ja...

- Tak, to coś, co zdarza się raz na sto lat.

- Jesteś piękna...

- Ty też.

- Kocham cię.

- Ja cię też, Mari.

Na weselu Corca i Pesca Mari pojawił się już z Marią Luisą.

Był odrodzonym, szczęśliwym człowiekiem, o jasnym obliczu i wesołych oczach.

Już wiedział, czym jest miłość, rozumiał, że każdy dzień bez kochania to pusta otchłań.

Jego partnerka tryskała kobiecością i każdy, zdrowy mężczyzna patrzył na nią z pożądliwością w oku.

Miała fason. Czarowała. Onieśmiałała. Roztaczała urok.

Czasem, gdy w tańcu sukienka obnażyła kawałek uda, sala zamierała w niemym oczekiwaniu.

Lecz Maria Luisa szybko łądowała u boku Mari.

- Kochanie, długo mnie nie było?

- Mała chwila.

- Oni nie umieją tańczyć. Tylko ty rozpalasz mnie w argentyńskim tango.

- Tak, tylko ja.

Czy pamiętała tamtą, pierwszą noc na plaży – na pewno, to był początek.

Była tu i teraz, rzucając za siebie zły czas, nie dbając o to, co było, kiedy Mari był daleko.

Czasem ten pierwszy raz determinuje życie – prawo pierwszych połączeń?

Maria miała dobrą pamięć i była prawdziwą kobietą.

Zachowała to, co święte, i posadziła to w dobrej ziemi.

Umiała wybierać to, co na talerzu najlepsze.

Pewnego wieczora, kiedy Pesca ślizgał się po falach, a The Beach Boys śpiewali akurat „Surfer Moon”, na plaży trwał piknik, Connie i Sherry bawiły swoje małe pociechy, twardych, przyszłych surferów, a Corc przewracał kielbaski na ruszcie, podczas gdy Mari całował na kocu Marię Luisę tak, jak nie całuje się nigdy kobiet, co do których nie ma się poważnych zamiarów, a więc wie się, że przyszłość będzie hollywoodzkim filmem.

- To wkrótce – powiedział.

- Co?

- Zobaczycie.

- Tak?

- Nigdy nie byłem na kocu z inną. Tylko z Marią Luisą. Na naszej plaży. To coś. To do mnie gada. Myślałem, czym jest miłość. Jest ciepłym piaskiem pod nami. Tu i teraz. Letnim pocałunkiem. Piosenką aniołów. Refrenem jasnym i zwycięskim. Tym, co nam było pisane. W gwiazdach. Jak to kochanie, co mogło przypaść innemu, lecz przypadło nam. I nie ma na całej ziemi człowieka, którym chciałbym kiedykolwiek być. Nie chcę więcej.

Potem, kiedy ich poprosił, usłyszał to, co chciał.

Zarówno Corc, jak i Connie byli zachwyceni – zostali świadkami.

Coś się kończyło, coś zaczynało.

Takie życie, nie ma tu miejsca na puste przebiegi, całość wypełnia wieczna ewolucja.

Mari bardzo chciał, by wszystko miało właściwą oprawę i klasę.

I wtedy, 19 września 1964 roku brał ślub, jakiego od dawna nie widział nikt.

Uwierzył w swoją miłość, nie szukał dziury w całym, jego labirynt prostował się.

Odnalazł siebie, odkrył nową krainę, w której chciał być od lat, lecz dotąd błdził po lichych ścieżkach, szukając światła.

Maria Luisa pokochała go już wtedy, na plaży, kiedy uczynił ją kobietą – nawet o tym nie wiedział, nawet nie miała pojęcia, jak jej serce płakało, kiedy go nie było.

Bo to, co przeznaczone, być musi, i oni byli tego przykładem.

Bo to miłość znajduje człowieka, a nie odwrotnie, spadając jak piorun z jasnego nieba.

Wynajęty zespół „The Cool Riders” wykonywał kawałki Elvisa, Stonesów, Beatlesów, Neila Sedaki, Cliffa Richarda, Helen Shapiro, Paula Anki i Chucka Berry’ego, łoł ognisćie do białego rana jak stado dzikich szatanów, bo ludzie chcieli potańczyć, a skoro zdarza się wesele, to czemu nie zabalować, pojeść i popić – to swoisty hołd dla nowożeńców.

Kiedy nad ranem Mari i Maria Luisa byli już sami w łóżku, ona zapytała:

- Pamiętasz plażę?

- Nie – padła odpowiedź.

- Więc skąd wiesz, że mnie kochasz?
- Pamiętam.
- Co?
- Nas.

I tak skończyła się ta rozmowa.

Potem, przed południem, wszyscy pojechali na plażę, by patrzeć, jak Pescador ślizga się na desce na wysokich falach, a z brzegu ludzie obserwowali z napięciem jego wyczyn.

W radio The Beach Boys śpiewali właśnie „Your summer dream”, a wszystkie dziewczyny obłądnie krzyczały, by je brać, bo kiedy w radio leci dobra piosenka, to kobiety tracą głowę.

Corcovado rozstawił grilla i położył kielbaski, boczek i karkówkę.

Connie wyjęła przygotowaną wcześniej sałatkę i spory słoik hiszpańskich oliwek.

Sherry przyniosła trochę schłodzonego piwa.

Ameryka posyłała właśnie całusa, kochała poranne narodziny.

I ludzi, którzy kochali życie, bo inni kochali ich.

Mari jeszcze nie wiedział, że za dziewięć miesięcy zostanie ojcem.

Pary bliźniaków, z których ten młodszy, Brian, będzie mistrzem na wysokiej fali.

Królem surferów, prawdziwą, amerykańską ikoną, bożyszczem tłumów.

Teraz był w łonie matki, bezpieczny i wolny od napięć.

A jego ojciec patrzył, jak przyjaciół sunie na kolorowej desce po falującym oceanie.

Potem je dobrze przyprawioną karkówkę od Dużego Mike’a, popija ją piwem.

A Corcovado mówi mu, że przyjaźń to skała.

Tak, ojciec Briana dobrze wie, że życie bez przyjaciół to fiasko.

Że tylko dobro w tym wszystkim się opłaca, bo wraca jak bumerang.

Jak Maria Luisa z całą swoją miłością, którą los poddał próbie.

Jak dłoń, którą podasz, przyjacielu, obcemu, a on odda ci tym samym i nie skrzywdzi.

15 sierpnia 2013

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

mike17, dodano 06.09.2013 09:57

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.